

KONRAD KOMORNICZAK

„WSTĘP”

Żył kiedyś w pewnym niedużym, ale też i niemałym wcale mieście zupełnie przeciętny chłopak, który całe swoje dotychczasowe 22-letnie życie marzył by zostać pisarzem. Żeby choć raz w bezsenną noc w asyście żarzącego się papierosa i stygnącej herbaty przy odgłosach ustawiających się w słowa liter, a w zdania, słów, stworzyć własnych bohaterów, uwikłać ich w nowe zupełnie przygody i wypuścić w siebie podległy świat. Chciał okiełznać język i poddać go swojej woli jak mistrzowie, których zawsze czytywał z wypiekami na twarzy, w pełnym zazdrości podziwieniu. W swoim dorobku nie miał jakichkolwiek osiągnięć w tej dziedzinie, co skrętnie tłumaczył kapryśną weną wspierającą jego talent w nieodpowiednich momentach. Zwykł żalić się na genialne pomysły, które na zawsze ugrzęzły w dworcowej toalecie, mistrzowskie zdania na wieki zagłuszone przez zbyt rozgadanych nauczycieli, czy wreszcie złożone misternie jak puzzle fabuły, rozpadające się w drobiazgi z każdym dzwonkiem na przerwę w pracy. Ile w tym było złośliwego losu, a ile lenistwa wiedział tylko on jeden.

Zdarzyło się jednak, iż pewnego razu zupełnie zniemacka, zdało mu się, że nadszedł jego czas, jego noc i jego bezsenność. Zasiadł zatem w rozświetlonym tylko ekranem laptopa maleńkim pokoju studenckiego mieszkania, który dzielił z pogrążoną wówczas w błogim śnie dziewczyną. Jeśli nie teraz to kiedy? Zegar bezlitośnie odliczał sekundy pozostałe do świtu jako jedyny przerywając nieposkromioną ciszę.

I tym razem wena zdawała się nie nadchodzić. Dawno...dawno temu – nie, nie, nie! Nie pisał przecież bajki. Razu pewnego – szepnął pod nosem i szybko, niesiony twórczym zapalem zaczął przyciskać klawisze, przerywając jednak nim jeszcze zdążył wybić na klawiaturze ostatnie litery. Zbyt banalne. To miał być moment powstania arcydzieła, które na zawsze wyryje nazwisko jego autora wśród największych pisarzy w dziejach. Odcisnie się mocno, przedzierając niemal stronicę encyklopedii gdzieś pomiędzy Kafką, a Marquezem. Już początek musiał być perfekcyjny. Lepszy niż wszystko, co kiedykolwiek człowiek napisał. Chłopak coraz szybciej wymyślał, gwałtownie łączył, przerzucał, kopiował, wklejał na przemian i kasował końcowe rezultaty swojej prywatnej burzy mózgu, by po piętnastu minutach walki znów siedzieć przed białą jak świeży śnieg, który zimą pokrywa miasto, wirtualną kartką. Nie bardzo chciał wierzyć, że przecucie może go mylić. Rozpoczął więc pisanie ponownie, tym razem jeszcze szybciej i z jeszcze większym animuszem. Wersja pierwsza, druga, trzecia, czwarta, osiemnasta. Żadna nie przypadła mu do gustu. W młodzieńczy optymizm powoli wkradał się wirus zwątpienia. Czyżby to nie ta noc i trzeba będzie jeszcze poczekać? Czyżby swoją noc, nieświadomy szansy przespał już dawno? Być może w ogóle nie jest mu pisana żadna noc i żaden papieros, żadna kartka, słowo, litera. Żadna sława. Z wolna pogrążał się w zadumie. Miewał te ciemne myśli już wcześniej. Bezpłodne godziny spędzone przed ekranem komputera zawsze go frustrowały, zapędzały jego myśli w kąt głowy, w którym czaił się hormon podejrzania o brak talentu i enzym minimalizacji poczucia własnej wartości. Podjął jeszcze kilka rozpaczliwych prób lecz słowa rzucane na papier z taką niechęcią odwzajemniały uczucie autorowi ze zdwojoną siłą tworząc zdania bezmyślne, grafomańskie, zupełnie bez stylu. Początkowo zbliżająca się drobnymi kroczkami katastrofa w jednej chwili zmieniła się w spadającą na jego głowę lawinę. Teraz siedział już spokojny, zamyślony, pogodzony z porażką, wpatrując się tępo w iskrzące z laptopa światło. Nie mógł ani spać, ani pisać. Czuł, że z każdą następną minutą traci nie tylko czas, ale i potrzebny na cały następny dzień sen. Trwał w tym bezruchu godzinę, a może całą wieczność. Wiedział dokładnie, że nie

stworzy już nic wartościowego, więc ocknął się i zaczął stukać w klawisze dla samego stukania, dla przerwania złowrogiej, w niczym nie pomagającej ciszy, by potem skasować nieporadny efekt uboczny, cenę własnego świętego spokoju. Na ekranie bardzo powoli, litera po literze pojawiał się dziwny tekst:

Szanowne członkinie oraz szanowni członkowie komitetu:

Kiedy siedząc w moim poznańskim mieszkaniu dowiedziałem się z telewizji o przyznaniu mi nagrody nie mogłem uwierzyć własnym oczom, uszom i w efekcie rozumowi, który przecież w moim wieku skłonny jest do żartów. Podobnie też wierzyć nie chciała moja żona. Trwałem w osłupieniu jak nieraz już zdarzało mi się trwać w odpowiedzi na przychodzącą znienacka pisarską niemoc. W pewnej chwili oprzytomniałem i pomyślałem wtedy, że przecież nie jestem zaskoczony, że nie powinienem się dziwić. Całe życie musiałem podświadomie być pewnym, że nadejdzie ten moment, który wynagrodzi frustrację, brak snu i lęk przed ograniczeniami własnego umysłu. Nie siedziałbym bowiem w bezsenne noce i nie powoływał do życia niezliczonej ilości słów tylko po to, by zgłodzić je tuż po narodzinach jako bezużyteczne. Nie dziwię się zatem, że doceniliście mój wysiłek. Bo był to wysiłek. Wysiłek w dążeniu do radości i własnego szczęścia. Sen na jawie egoisty. Dlatego też pragnę w tym jakże zacnym gronie, uroczystym czasie i dostojnym miejscu podziękować osobie, która najbardziej na to zasłużyła. Pogratulować sobie. Za trud pisania, które jak prawdziwa miłość uskrzydla mnie i dostarcza największych radości, przynosząc jednocześnie największe męki, spory i rozczarowania. Za upór w dążeniu do perfekcji i wielkości nawet w momencie, gdy rozum wieszczy porażkę. Przede wszystkim jednak za to, że nie żał mi było czasu dla innych ludzi. Na zawieranie, kontynuowanie, podtrzymywanie i niekiedy niestety ratowanie przyjaźni. Kochanie nawet, gdy kochać nie było łatwo oraz odwzajemnianie ogromu spadającego na mnie zewsząd uczucia. Za znalezienie żony, która wypełniła moje życie w najlepszy z możliwych sposobów, dała spokój i burzę, oparcie i złość, miłość i miłość i jeszcze raz miłość. Iskry składające się na ogień, który twórczo napędzał moje życie. Za cudowne wspomnienia, które bezlitośnie i bez żadnych skrupułów wyszarpywałem z bliskości moich rodziców i braci. Gdybym nie kradł z ich serc tak wiele dobrego nigdy nie dowiedziałbym się jak wspaniałymi są ludźmi. Za miejsca, które zobaczyłem, a których to wciąż było mi mało. Za wszystkie chwile, do których bezustannie pędziłem. Za stworzenie wreszcie jedynej w swoim rodzaju, niepowtarzalnej trójwymiarowej kombinacji ludzi, miejsc i czasu, w której to każdy element w swej doskonałości złożył się na najwspanialszą z moich opowieści – życie. Musiałem widocznie urodzić się otwarty na nie. Cała reszta chyba po prostu przez owy otwór wpadła do wnętrza mej duszy. A była tak wspaniała, że moja twórczość jest tylko marnym jej odbiciem, nieudolnością języka pragnącego opisać zjawiska, dla których nie istnieją właściwe słowa. Cieszę się jednak, że komuś się podoba i za to również bardzo dziękuję.

Chłopak ocknął się ponownie, rzucił jedynie okiem na powstały niezależnie od jego woli i zdrowego rozsądku tekst i jednym zdecydowanym ruchem palca skasował wszystko. Postanowił, że podejmie jeszcze jedną próbę. Tym razem już bardzo skupiony

zabrał się do realizacji marzenia o wielkiej literaturze spod znaku swojego nazwiska.
Klik, klik. Delikatny dźwięk coraz szybciej przebijał się przez ciszę.

Żył kiedyś w pewnym niedużym, ale też i niemałym...

Za oknem nad horyzont powoli wychodziło słońce, rodził się nowy dzień.